

Mirosław Filipowicz

<https://orcid.org/0000-0002-5225-6564>

O Richardzie Pipesie

Wiadomość o śmierci Richarda Pipesa nie była zaskakująca. Niewiele tygodni brakowało mu do ukończenia 95 roku życia, od dłuższego czasu podupadał na zdrowiu, a w ostatnim roku podupadł mocno. A jednak, przy całym braku zaskoczenia, kilku kolegów na wieść o tym powiedziało, całkiem niezależnie od siebie: to symboliczny koniec pewnej epoki. I w historii zachodnich studiów nad Rosją, i chyba również w dziejach uchodźców z Polski, Żydów, którzy potem na Zachodzie mogli rozwinąć swe talenty.

Pipes był bodaj ostatnim żyjącym uczniem Michaela Karpovicha, legendarnego rosyjskiego emigranta, którego los rzucił jeszcze przed przewrotem bolszewickim, ale już po rewolucji lutowej, do Stanów Zjednoczonych. Tam już pozostał, z czasem znajdując pracę w Uniwersytecie Harvarda, by zgromadzić wokół siebie, już po zakończeniu II wojny światowej, prawdziwą plejadę przyszłych wielkich historyków Rosji: Marc Raeff, Nicholas Riasanovsky, Donald Treadgold, Hans Rogger, Firuz Kazemzadekh, Martin Malia i wreszcie ten, który miał zostać na Harvardzie jako następcą Karpovicha: Richard Pipes. Był od Karpovicha, również w poglądach na dzieje Rosji, bardzo odmienny. Bliżej mu było w różnych aspektach do innego znanego rosyjskiego emigranta, George'a Vernadsky'ego, samotnego historyka z Yale, autora licznych prac syntetycznych poświęconych dziejom średniowiecznej i wczesnonowożytnej Rusi i Rosji. Ale to nie o Vernadsky'm, a o Karpovichu mówił z wielkim uznaniem i szacunkiem, podkreślając tolerancyjność i otwartość umysłu swego nauczyciela. Jeszcze wiele lat po śmierci Karpovicha utrzymywał stosunki z jego rodziną: syna Michaela Karpovicha, Serge'a, poznałem w domu Pipesów w Cambridge, MA przed kilku laty, gdy spotkaliśmy się tam na kameralnym przyjęciu. Skądinąd warto pamiętać, że żona Pipesa, Irena, o której napiszę tu jeszcze, była przez lata osobistą sekretarką Karpovicha i też zachowała o nim jak najlepszą pamięć.

Oboje z Ireną pochodzili z Polski. Ona jest rodowitą warszawianką, on w Warszawie spędził sporą część dzieciństwa i młodość. Co dość rzadkie: uratowały się całe ich najbliższe rodziny. O okolicznościach ucieczki z Polski Richard Pipes napisał sporo w swych wspomnieniach. Tu mogę dodać, że jego rodzice

do końca życia mówili ze sobą po polsku i w tym języku rozmawiali i korespondowali z synem i synową. Podobnie było z rodzicami Ireny. A w domu Pipesów polski był, po narodzinach ich synów, językiem tajemnym, używanym wtedy, gdy chciało się coś ukryć przed dziećmi. Raz jeden sam tego doświadczyłem, w trakcie obiadu. Profesor Pipes nie uważał, by należało wydawać zbyt duże pieniądze na alkohol. I kiedyś spytał mnie, po angielsku, czy zgadnę, ile kosztuje butelka popularnego kalifornijskiego merlota, jaki piliśmy do obiadu. Na co błyskawicznie zareagowała Irena, mówiąc po polsku: „nie mów mu, Mirek jest winnym snobem i będzie zgorszony”. Po czym dotarło do niej, że Mirek jednak zna polski i wszyscy wybuchliśmy głośnym śmiechem.

Od końca lat pięćdziesiątych mieszkali w Cambridge, MA w pięknym starym domu, zbudowanym w 1863 r., a położonym przy Berkeley St. Przy tej ulicy zamieszkiwali kiedyś wyłącznie profesorowie Harvardu, głównie prawnicy, choć był tam też dom słynnego badacza dziejów dyplomacji, Williama Langera. Obecnie profesorów nie stać już na domy w tej lokalizacji. Zastąpili ich bankierzy i ludzie biznesu, zaś z profesury pozostali Pipesowie i ich sąsiadka z naprzeciwka, germanistka. W domu Pipesów, co też warte odnotowania, znajduje się najstarsza winda w Cambridge, mała i bardzo staroświecka, zbudowana w 1901 r. i wciąż czynna. Parter służył życiu towarzyskiemu i posiłkom, na piętrze było kilka sypialni, na poddaszu zaś pracownia Profesora, do której nie wpuszczano pani od sprzątanania i gdzie panował kapitalny bałagan, z gatunku tych, jakie uwielbiają naukowcy. Pipes miał też pokój do pracy w Widener Library i codziennie tam chadzał. Gdy już zrobił się starszy i chodzenie sprawiało mu pewien kłopot, drogę odmierzał ławeczkami, na których mógł przez chwilę odpocząć. Był ponoć nawet inicjatorem postawienia takiej ławeczki w okolicach samej biblioteki.

Z Ireną byli małżeństwem przez ponad siedemdziesiąt lat. Trudno o bardziej przykładowy związek, stworzony przy tym przez ludzi o bardzo różnym temperamencie i charakterze. On spokojny i zdystansowany, choć niekiedy impulsywny, ona – żywiołowa i spontaniczna, a gdy trzeba – spokojna. Nawet rozkład dnia był u nich całkiem odmienny. Pipes wstawał rano. Gdy wstawałem około 8, on już siedział w kuchni po śniadaniu i kawie, i czytał gazety. Irena dopiero się budziła, do południa była niechętna życiu towarzyskiemu, ranki wolała spędzać, pływając na basenie. Za to wieczorem, gdy Pipes szedł bardzo wcześnie spać, Irena była jeszcze pełna sił i potrafiła wyciągnąć człowieka do klubu jazzowego.

Kiedyś spytałem ją, jak dojechać metrem do centrum Bostonu. I usłyszałem nieśmiałą odpowiedź, że nie ma pojęcia, bo nigdy w życiu nie jeździła w Cambridge i Bostonie transportem publicznym. Myślę, że podobnie było i w jego przypadku. Jeździli samochodem. Jeśli osobno, pół biedy. Jeśli razem – często kończyło się to kłótnią o to, kto uważniej i lepiej prowadzi. I zwykle ofiarą krytyki padał ten, kto akurat siedział za kierownicą. Oboje prowadzili dobrze. Ciepłolubna Irena nie lubiła zim w Bostonie, na te miesiące wprawdzie przenosili się na Brytyjskie Wyspy Dziewicze, na Tortolę, gdzie mieli własny domek, a potem, w ostatnich latach,

na Florydę. Tyle, że Pipes długo tam nie wytrzymał i wracał do Cambridge, bo bez Widener po prostu się nudził. Lato spędzali w domu nad jeziorem w New Hampshire. Stąd było trochę bliżej do Cambridge i do biblioteki. Z owym domem letnim wiąże się spektakularna historia. Przed kilku laty, po otwarciu domu późną wiosną, okazało się, że panuje w nim niebywały chaos i bałagan. Potłuczone talerze, wypite butelki alkoholu, odchody na dywanach, etc. Wpierw podejrzewano złodziei, ale o tych w stanie New Hampshire nie tak łatwo. Staroświecki policjant, który przyjechał zbadać sprawę, z miejsca odparł: to nie włamywacze, to szopy. Zwierzęta musiały sobie urządzić prawdziwą orgię, zjadły, co się dało i wypily cały alkohol. Najwyraźniej przeżyły, bo żadnych trupów nie znaleziono. Dom zaś wymagał długiego i fachowego sprzątnięcia.

Dom Pipesów nie był specjalnie religijny, a już z pewnością daleki od ortodoksji. Zapytałem kiedyś Profesora, czy jest wierzący. Odparł, że oczywiście tak, a w Ameryce w ogóle nie sposób być niewierzącym. Na moje pytanie, czy chodzi do synagogi, odparł, że rzadko, nie czuł takiej potrzeby. Rodzinnie obchodzono ważniejsze uroczystości religijne, głównie jednak chyba ze względu na syna i wnuczki. Nie przestrzegano koszerności kuchni. Jedną z ulubionych opowieści domowych była historia związana z dłuższym pobytem Pipesów w Jerozolimie, w trakcie którego wynajęli dom od właściciela przestrzegającego zasad ortodoksji. Profesor dość szybko zatęsknił za ulubioną kanapką z serem i szynką (dwa przekroczenia reguł koszerności w jednej kanapce!). Właściciel odparł, że jest mu obojętne, co się będzie działo w żołądkach gości, ale nie jest mu obojętne, co się będzie działo na jego talerzach i w jego kuchni. Znalaziono jednak rozwiązanie: okazało się, że zasadom koszeru nie podlegają naczynia i sztucce ze szkła.

W Ameryce, w kręgach nieprzychylnych mu rewizjonistów, zarzucano Richardowi Pipesowi, że jego poglądy na Rosję są zbyt „polskie”, co właściwie sąsiadowało już z zarzutem rusofobii. Według mojej obserwacji, historyk nie studiował jednak systematycznie polskiej historiografii, ani nawet specjalnie się nią nie interesował. Słynne przedwojenne dzieło Jana Kucharzewskiego poznał, jak sam twierdził, już po napisaniu swojej *Russia under the Old Regime*. Podobieństwa więc, których się tu doszukiwano, są przypadkowe. Współczesnej polskiej historiografii też nie śledził jakoś bardziej systematycznie. To nie znaczy, że całkiem to pomijał. Wielokrotnie słyszałem z ust Pipesa bardzo wysoką opinię o pracach Andrzeja Nowaka, wiem, że z uwagą przeczytał dwie książki Wojciecha Zajączkowskiego. Czasem przywoływał polską literaturę w swoich książkach czy artykułach. Polską interesował się o wiele mniej niż jego żona, która w Warszawie czuje się jak u siebie. Ale i on miał tu rozmówców i znajomych, zawsze uważnie słuchał opinii Adama Michnika, spotykał się ze znanym Pipesom od lat Radosławem Sikorskim. Chyba głównie dzięki Irenie utrzymywał kontakty z Elżbietą i Krzysztofem Pendereckimi. Współczesnych polskich podziałów politycznych nie bardzo rozumiał, a może i nie chciał rozumieć. Niepokoił go, oczywiście, wzrost nastrojów nacjonalistycznych, krytykował polską prasę za

fatalny serwis zagraniczny, ale w patrzeniu na współczesną Polskę zachowywał dystans. Sceptycznie wyrażał się o polskich wysiłkach skierowania Ukrainy ku Unii Europejskiej, mówiąc, że Rosja nigdy z Ukrainy nie zrezygnuje. Jednocześnie bardzo popierał aspiracje Gruzji i był nawet honorowym konsulem gruzińskim w Cambridge, MA. Poza wielką polityką, cieszył się jednak polskimi sukcesami, zawsze też z satysfakcją wspominał, że fabrykę, w której są produkowane popularne wafelki „Prince Polo”, założył jego ojciec. Polski świat wrócił do niego silnie w ostatnich tygodniach, gdy już bardzo ciężko chorował. Nagle zaczął snuć całkiem nierealne przecież plany o odwiedzeniu miejsc znanych z dzieciństwa, a do amerykańskich pielęgniarek, ku ich konsternacji, zaczął się zwracać po polsku.

W ostatnich latach, już jako emeryt, mógł zająć się tematami, na które wcześniej miał ochotę, a nie znajdował czasu. Tak powstała jego wydana po polsku książka o rosyjskich malarzach – „pieriedwiznikach”, w której powróciły młodzieńcze zainteresowania historią sztuki. Po angielsku Pipes wydrukował to w 2011 r. (*Russia's Itinerant Painters*, „Russian History” 38 (2011), nr 3, s. 315–427). Tak też powstało sensacyjne wręcz studium o sprawie Diegajewa, czy mistrzowski artykuł o procesie Wiery Zasilicz, akcentujący różnicę między prawem i moralnością. Swoją ostatnią opublikowaną drukiem tekst (*The Sad Fate of Birobidzhan*, „New York Review of Books” 63 (2016), nr 16 z 27 X, s. 66–67) poświęcił książce Maszy Gessen o Birobidzhanie. Trochę się zmieniło w ostatnich latach jego nastawienie do nowszej, przeważnie „rewizjonistycznej” historiografii, co zapewne wynikało też z przemian jej samej. Wcześniej potrafił ją całkiem zignorować (*vide – Rewolucja rosyjska*). Teraz wyląwiał z niej to, co uważał za wartościowe. Uważnie, choć nie bez zastrzeżeń, przeczytał monumentalny pierwszy tom biografii Stalina autorstwa Stephena Kotkina, napisał też w gruncie rzeczy ciepłą i w wielu aspektach pozytywną recenzję późnego dzieła Sheili Fitzpatrick o stalinowskim politbiurze. Jeszcze przed kilku laty regularnie jeździł do Rosji, gdzie wspierał inicjatywę Jeleny Niemirowskiej, wykładając w jej Szkole Nauk Politycznych i pomagając w wychowaniu otwartego na Europę i Zachód pokolenia rosyjskich intelektualistów i działaczy.

Jednak świat, w którym przez lata funkcjonował, na jego oczach bezlitośnie odchodził. Odchodzili politycy, z którymi pracował, umierali koledzy, często znacznie młodsi od niego. Pamiętam, że gdy spytałem go o reakcję na śmierć Martina Malii, jego wieloletniego konkurenta, chyba zresztą przez Pipesa niedocenianego, odparł: „był rywalem, ale doznałem silnego poczucia straty”. Nie tak znów dawno zmarł człowiek tego samego pokolenia, Zbigniew Brzeziński, politycznie od Pipesa odległy, ale ideowo bliższy niż by wynikało z amerykańskich podziałów. Profesor dożył prezydentury Baracka Obamy, której się bardzo obawiał. To, co przyszło po Obamie, oceniał równie, jeśli nie bardziej krytycznie. Ale nie stał się malkontentem. Człowiek, któremu udało się przeżyć Holocaust i który był potem świadkiem i uczestnikiem wielu najciekawszych zmaganiań minionego stulecia, właściwie do końca zachował rodzaj niebezkrytycznej nadziei.